

WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży

Adres Redakcji Warszawa, ul. Trębacka 11.

<p>WARUNKI PRENUMERATY: W Warszawie: rocz. rb. 4, półrocz. rb. 2, kwart. rb. 1. Za odnoszenie dopłaca się 10 kop. kwart. Z przesyłką pocztową w granicach państwa: rocz. rb. 5, półrocz. rb. 2 k. 50, kwart. rb. 1 kop. 25. Za granicą: w Austrii 14 koron, z do-</p>	<p>datkami 21 koron rocz. W Niemczech 12 marek, z dodatkami 19 marek rocz. Za oprawę dodatków bezpłatnych książkow. dopł. się 2 rb. 40 k. rocz., t. j. po 20 k. od tomu.</p> <p>WARUNKI OGŁOSZEŃ: 2 i 3 strona wiersz 1 szp. k. 20 w tekście nadesłane „ „ „ 50</p>	<p>Pronumeratę najlepiej nadsyłać pocztą wprost do Administracji Krakowskie-Przedmieście 64 w Warszawie księgarnia „Polaka i Katolika“.</p>
---	---	---

Można jeszcze opłacać „Wieczory Rodzinne za kwartał I.

TREŚĆ NUMERU:

Zima, przez Władysława Belzę (z 2 ryc.).
Tadeusz Czacki, przez Helenę Bojarską.
Nigdy, przez Z. Morawską.
Nad Złotym Rogiem, przez Stanisława Belzę (z 1 ryc.)
Zaginiony świat przez Conan Doyle.
Tajemnica starego zamczyska, przez Koneczną.
Klub szczoteczki do zębów, prze Helenę Bojarską.
Z pięciu części świata.

DZIAŁ DLA DZIECI:

O celu polaka, przez W. Belzę.
Myszaty konik, przez Marię Kaczkowską.
Sanna, przez J. M. Karasińską (z 1 ryc.)
Złote ziarna.
Pociorek.
Nie mów mamie.



Myślę, *Złote Słońce*, że jesteś dobrą, pełną najlepszych chęci i zapału dziewczynką, dla której prócz serdecznego uczucia mam i szacunek za stawanie w obronie tego, co dla nas Polaków jest święte, za to, że już cierpisz prześladowanie dla sprawiedliwości. W szkole twój, powinna was Polki łączyć miłość i jedność, bo jeden los jest waszym udziałem, jedne i te same ideały was ożywiają; a nic tak ludzi nie łączy, jak wspólność myśli i cierpienia.

Masz słuszność, mówiąc, że jeżeli być nauczycielką — to dobrą; ale pamiętaj, że ta dobroć polega nie tylko na zdolnościach pedagogicznych, na wyuczeniu dobrze dziatwy czytania, rachunków, lub choćby najtrudniejszych przedmiotów, lecz na urobieniu ich duszy, na kształceniu nie tylko umysłu, lecz i charakteru, na wpajaniu w powierzone sobie duszyczki uczciwych, wzniosłych zasad.

Nie wątpię, *Złote Słońce*, że ty taką pragniesz zostać nauczycielką. Nim to wszakże nastąpi musisz pracować jeszcze nad sobą, boć wszakże nie tylko nauka twa, lecz i życie będzie wzorem dla twych uczennic i uczniów.

Bardzo to ładnie, że taka przyjaźń łączy ciebie z Entuzjastką, a siostrę twoją z jej siostrą. Niechże uczucie to przetrwa całe życie i służy pięknym przykładem dla innych.

Dobra jest twoja siostryczka *Srebrzysty Dzwoneczku*, że cię skłoniła i pomogła do napisania listu do Przyjaciółki.

Prześliczne podostawiałaś podarki na gwiazdkę! Aż mię bierze ochota obejrzeć je... Wiesz, Halinka też ma kotka, ale większy jest od twego Buraska i częściej siedzi w kuchni, niż w pokoju i śpioch z niego straszny.

Za całusa Halinka również śle całusa, a ja proszę o częste liściki.

Przeciwnie, podobasz mi się *Teslnoto* i z niecierpliwością będę wyglądała listu, który mi coś więcej o tobie powie, tymbardziej, iż wiem, że gorliwie zajmujesz się ochronką. Żądany adres podam ci w odpowiedzi na następnym list.

Napewno kochana *Młodości* osiągniesz cel, o którym marzysz, bo masz serce, a więc tylko wytrwania nadal i kształcenia własnej duszy i umysłu, rozwijania w sobie tego, co w innych wszczepiać pragniemy!

Ciesz się, że oceniasz miłość swych rodziców, bo to już jest na drodze naszego poznania życia — krok naprzód.

Ja nie jestem, kochanie, tą osobą, za którą mię bierzesz — ale uściśnienia twe przyjmuję z taką serdecznością, z jaką darzysz niemi mnie i córeczkę mą Halinkę. Jaskółce i Zosi-Iskierci powtórzę twe słowa.

Ucieszyłaś mię *Samotności*, gdyż nitka niezzerwana!

Pytasz mię, czy nie mam ci nic do wyrzucenia — nic nie mam, zupełnie; a szlachetne twe usiłowania i wielkie przed Bogiem zobowiązanie wzbudzają we mnie szacunek dla duszy, pragnącej nieustraszenie iść

zawsze drogą prawdy, obowiązku względem naszej cierpiącej Ojczyzny.

Co do pamiętników, to masz słuszność, że w późniejszych latach, sprawiają nam one przyjemność, o tyle, wszakże, o ile nie przywodzą na pamięć myśli, czynów, za które później trzeba się wstydić; a tak to bywa nieraz.

Pamiętam, jak dziennik skrzętnie pisany w epoce dzieciństwa i młodości do lat szesnastu — zniszczyłam później.

Dobrze świadczy o tobie *Czarnooka Tęsknoto*, że listy nieodżałowanej naszej Jaskółki uczyniły cię lepszą; dodaje mi to otuchy, że i moja praca może na coś się przyda, tymbardziej, że z taką ufnością garniecie się do mnie kochane moje dziewczątka i chłopcy. Ale Czarnooka widocznie niezbyt uważnie czytała 48 Nr. „Wieczorów“, wszakże w tym to numerze Jaskółka żegna się z czytelnikami i wyjaśnia, dlaczego ustępuje z zajmowanej tak długo placówki.

Szczęśliwą jesteś, że masz takie liczne rodzeństwo i krewnych! Wyobrażam sobie, jak bardzo musisz ich kochać — nieprawdaż?

To też spraw kochanku radość swoim rodzicom i Przyjaciółce, porzucając lenistwo i przykładając się więcej do nauki, zwłaszcza języka polskiego, gdyż w liście twym jest ach! dużo błędów! Mają rodzice twój słuszność, chcąc kształcić cię w domu, w szkole bowiem, nie uczysz się widocznie po polsku, a znajomość gruntowna ojczystego języka jest przecie najpierwszym obowiązkiem każdej prawej Polki.

Nie gniewaj się Czarnooka za tę uwagę — czynię ją dla twego dobra i jestem pewna, że więcej teraz w tym kierunku pracować będziesz.

Na przyobiecana fotografię czekam, dziękując tymczasem za przysłaną mi maleńką. Z obietnicy długich listów cieszę się.

Anielciu! liścik twój wzruszył mię do głębi, a przez cierpienie swe i smutek, bliższą i droższą mi jesteś, niż byś to przypuszczać mogła, ty smutna, serdeczna dziewczeczko moja! Z duszy radabym ci co poradzić, ulżyć, ale trudno to jest nie znając bliżej warunków i przyczyn, wywołujących zło. W każdym bądź razie, wierz mi Anielciu, że słodycz, łagodność i dobroć — to broń potężna, którą zwalczyć możesz nawet nieżyczliwych ci, a cóż dopiero osoby bliższe.

List i wiek zdradzają już pewne wyrobienie umysłowe, pozwalające na samokrytycyzm swego postępowania; nietrudno ci więc będzie poznać, co się innym w tobie niepodoba, jaką znaleźć drogę do ich serca. Bądź zawsze dobrą, słodką, uprzedzającą ich życzenia, bądź uśmiechnioną i pogodną, a nadewszystko wzywaj w serdecznej, nieustannej modlitwie pomocy Boga, a napewno dola twa stanie się lżejszą i szczęście w duszy zagości, bo dobra i wytrwała wola stanowczo zwyciężyć musi.

Sama przynajmniej, że dla *ważnych* bardzo *przyczyn* rodzice zerwali stosunki z drogą ci osobą — słuszność zatem po ich stronie; a ty, nie tłumiąc w sercu świętego uczucia, zastosuj się do ich woli, dopóki okoliczności nie zmienią się na lepsze.

Nie mogę się Anielciu powstrzymać od pochwały, że choć na obczyźnie żyjesz i kształcisz się — list twój dowodzi, że języka ojczystego nie zaniedbujesz, gdyż piszesz dobrze i wyrażasz się poprawnie. A czy wiesz kochanie, że to zasługa twych rodziców, którzy w odpowiednim duchu nauką twą kierują?

Tyle tylko narazie powiedzieć ci mogę. Rada moja płynie z doświadczenia i serdecznego współczucia dla ciebie — przyjmij ją, a mnie uważaj za kochającą i oddaną ci zawsze

Przyjaciółkę.

Zadania i łamigłówek.

Lekcja z przeszkodami.

SZARADA.

ułożyła Emilia Rychter.

Me *drugie* wspanak i wprost *czwarte*;
Ktoś jest tam; Jania, tak, ona;
Spogląda w okno otwarte,
Nad książką niby schylona...

A po nad główką mej córy,
Trzeciego, czwartego drżą pędy...
Kot gałąź chwyta w pazury,
Radby wleźć na dach tamtędy...

Nie, Jani *trzecia* i *czwarta*
Że ba... bo i *pierwsze* ją nudzi;
Książka niech leży otwarta,
Chęć może później obudzi...

Obecnie — książce nierada;
Gdyż *druga druga* na pręcie,
Papuga nasza, to gada,
To gwizdże, paple zawzięcie...

Wszystko! zakrzyknie w głos cienko;
Znów *wszystko!* grubym grzmi basem;
„Daj buzi! Gdzieżeś panienko?“
Komiczną Koko jest czasem.

Czwarte nie lekcja dziś Jani;
Wprost *drugie czwarte* ze śmiechu;
I któż jej nawet to zgani?
Jest śmieszka; niema w tem grzechu...

Orzeszki do zgryzienia.

1. Kto umie mówić wszystkimi językami.
2. Ile ziarenek grochu wchodzi do garnka?
3. Gdzie rzeki nie mają wody?
4. Który ptak jest najporządniejszy?

W jakim lesie nie ma liści na drzewach?

Upraszamy o nadsyłanie odpowiedzi na powyższe pytania.

Do przyszłego numeru dołączymy dodatek bezpłatny za styczeń p. t. „W zapomnianej stronie“ (z pobytu nakoszubach), St. Bełzy.

PODRĘCZNY

Atlas zoologiczny

Nakładem T-wa „Świt“.

Część pierwsza

zwierzęta ssące

„ druga

ptaki.

Cena jednej części 2 rb.

Do nabycia w księgarni „Polaka-Katolika“

Krak.-Przedm. 64.

Wieczory Rodzinne

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.



ZIMA.

Z I M A.



Wicher jęczy jak zmora,
Liść oblata jesienny,
Dzień dzisiejszy jak wczora,
Smutny, mglisty i senny.

Wiatr pomiata płomykiem
Na kominku w marmurze,
I przedrzeźnia się sykiem
Śnieżnej w polu wichurze.

U nóg moich spoczywa
Pies mój wierny, legawy,
I w płonące łuczywa
Wzrok zatapia ciekawy.

Żona jakby na psotę,
Rzuca kwiaty na krośnie,
A ja śledząc robotę,
O minionej śnię wiośnie.

Gonię myślą te chwile,
Co w dni moich rozkwiciu,
Kwiatów tyle, ach! tyle,
Przrzekały mi w życiu.

Budzę wszystkie te hasła,
Co śpią w duszy gdzieś toni,
Gonię gwiazdkę, co zgasła,
Nim wzrok zbliżył się do niej...

I oparty o okno
Patrzę w śnieg ten, co prószy;
Dziwnie oczy mi mokną
Łzami z głębi aż duszy.

I na szybę łza spływa,
Łza z pod serca, gorąca,
A mróz wnet ją odziewa
W kształty kwiatów tysiąca.

Na coż mamy do zgonu
Łudzić, mamić się tyle,
By nam w końcu kwiat szronu
Złudną wiosny dał chwilę?

Władysław Bełza.

Tadeusz Czacki.

(W SETNĄ ROCZNICĘ ZGONU).

Tadeusz Czacki, syn Szczęsnego, jeden z najznakomitszych i wielce zasłużonych obywateli kraju naszego, urodził się 28 września 1765 r. w dobrach ojczystych Porycku na Wołyniu, gdzie wychowywał się i pobierał pierwsze nauki pod okiem ojca, człowieka bardzo majątnego i zajmującego w kraju wysokie stanowisko.

Dla dalszego kształcenia się pojechał do Gdańska pod opieką stryja swego Franciszka, gdyż ojciec jego został uwięziony z polecenia króla Stanisława Augusta, za podburzanie szlachty i rozpalanie namiętności, szkodziących wszelkim reformom; gdy został uwolniony, wtedy i syn powrócił do domu rodzicielskiego i tu kształcił się jeszcze pod kierunkiem doskonałych nauczycieli.

Od 1784 r. zaczął pracować w sądach nadwornych koronnych i występować publicznie; napisał też wspomnienie o tych sądach, w którym opowiada o babie przysięgającej na mieczu, na rozkaz magistratu w miasteczku Zegrzu w Łęczyckiem, iż ludziom i bydłu szkodzić nie będzie.

Zwiedzał też Czacki więzienie podziemne w Kamieńcu zwane „Indjami“ i ubolewał nad szkodliwością takich wspólnych więzień, w których mniej winni przestępcy, obcując z wytrawnymi i wyćwiczonymi zbrodniarzami ulegają złemu ich wpływowi i psują się do reszty.

Szlachetny charakter Tadeusza oburzał się na tę łączność więzienną; dzielny młodzieniec śmiało myśli swoje wypowiadał i pragnął zmiany na lepsze.

Mimo wysokiego wykształcenia jakie posiadał, pragnął jeszcze się uczyć, jeszcze wiedzę swoją rozszerzać, to też wszystkie chwile wolne od obowiązków urzędowych spędzał albo w bibliotece Załuskich, albo w archiwum głównem, przeglądając i porządkując metryki koronne, z czego odnosił tę korzyść, iż coraz lepiej poznawał stosunki krajowe; a z takimi uczonymi jak Albertrandy i Naruszewicz zastanawiał się nad życiem politycznym narodu i nad organizacją wewnętrzną rządu.

Pracował, rozmyślał, badał, a wybitne zdolności, nadzwyczajna pamięć i niezmierne zamiłowanie do wyższych nauk uczyniły go jednym z najuczestniejszych mężów owego czasu.

Powołany przez króla Stanisława Augusta na członka Komisji Górniczej (istniejącej od r. 1782) zwrócił uwagę na młodzież, pragnącą kształcić się na górników, a nie mającą odpowiednich funduszy; za jego wpływem i przyczyną wyjednano w sejmie fundusz na wysyłanie młodzieży za granicę, dla kształcenia się w tym kierunku. On sam odbywał też wiele podróży, robił mapy Polski pod względem hydraulicznym i regulował spławność Dniestru przez zniesienie porohów.

Zasiadał też Czacki w Komisji Skarbowej Koronnej i był bardzo gorliwym jej członkiem; słowem,

gdzie mógł pracować i działał z pożytkiem dla kraju i narodu.

Ale nadeszły smutne czasy dla Polski; upadek kraju i jemu zgotował ruinę majątkową; przyszła chwila, iż powziął zamiar zostania profesorem Akademii Krakowskiej, aby zapracować na utrzymanie dla siebie i swej rodziny, ale gdy cesarz Paweł zwrócił mu zabrane dobra, zaniechał tej myśli, jednak odtąd poświęcił się wyłącznie pracy naukowej.

Do biblioteki Poryckiej gromadził mnóstwo cennych prac, poważnych naukowych dzieł, materiałów historycznych i t. d. a bogaty ten jego księgozbiór liczący 12,000 ksiąg polskich, 4,000 rękopisów i kilkadziesiąt tysięcy różnych dzieł obcych przeszedł później do Puław.

Tadeusz Czacki napisał wspaniałe dzieło: „O litewskich i polskich prawach, o ich duchu, źródłach, związku i o rzeczach zawartych w pierwszym statucie dla Litwy 1529 r. wydany”.

W tej wielkiej rozprawie, zwanej „Lasem erudycji” jest tyle różnorodnych dokumentów archiwalnych, źródeł, wskazówek, iż inni pisarze korzystać mogli z tej pracy; oprócz rzeczy poważnych są tam też i lżejsze jak np.: pieśni ludowe, podania, legendy tak góralskie jak i nadbałtyckie, poleskie i inne, a treść ich chronologicznie-historyczna, stwierdzona odpowiednimi świadectwami.

Niektórzy krytycy zarzucają temu dziełu chaotyczność i bezład, które się wytworzyły może wskutek wielkiego nagromadzenia wiadomości; czytanie tego dzieła jest też dość ciężkie i trudne, gdyż autor ciągle odsyła czytelnika do innych naukowych rozpraw.

Oprócz tej wiekopomnej pracy, napisał też Czacki wiele innych mniejszych dzieł historyczno-krytycznych.

W pierwszych latach XIX wieku przebywał prawie stale w Warszawie i wtedy bardzo przyczynił się do założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk 1800 roku; wpłynął też niemało na założenie Towarzystwa Handlowego 1802 r.

Zaproszony na wizytatora szkół gubernji Wołyń-

skiej, Podolskiej i Kijowskiej zwiedzał je z całą gorliwością, a zbadawszy potrzeby naukowe doszedł do przekonania, iż dla wielu kształcących się uniwersytet Wileński jest zanadto oddalony, i że należałoby otworzyć jakąś uczelnię, jakąś wyższą szkołę, mogącą go zastąpić i wtedy to za zezwoleniem cesarza Aleksandra I-go powstało 1805 r. znane w dziejach oświaty gimnazjum Wołyńskie, zamienione później na głośnie Liceum Krzemienieckie.

Z dobrowolnych ofiar obywateli ziemskich gubernji południowo-zachodnich, w części z funduszów jezuitskich, a w części i z własnej szkatuły opatrzył Czacki szkołę w potrzebne fundusze, w bibliotekę, gabinety: przyrodniczy i numizmatyczny, wreszcie we wszystko, co było potrzebne; w czym mu znów wiele dopomógł i doradził uczony mąż Hugo Kołłątaj.

Cesarz Aleksander oceniając wielkie zasługi Czackiego, pozwolił obywatelom wybić odpowiedni medal dla uczczenia szlachetnego uczonego, który różne inne jeszcze pozakładał szkoły, starając się o jaknajszersze krzewienie oświaty i nauki w kraju, słusznie też o nim powiedziano, że:

...Z jego wpływu i pracy mieć będą prawniki
Dwie pamiątki największe: język i nauki.

W piśmiennictwie polskim położył Czacki wielkie zasługi, jako gorliwy szperacz zabytków przeszłości; był on, jak utrzymują, drugim znakomitym historykiem krytycznym. (Za pierwszego uważany jest Adam Naruszewicz).

Umarł uczony ten mąż 8-go lutego 1813 r. w Dubnie, pozostawiwszy po sobie niezatarte wspomnienie; to też dziś w stuletnią rocznicę zgonu ze czcią wspomina my imię jego, przekazując je młodszemu pokoleniu, aby na dalsze znów lata zasługi uczonego Polaka odżyły w pamięci potomności.

Szlachetni przodkowie, dzielni wojownicy, zdolni pisarze i uczeni to przecież chluba narodu, to jego sława!

Helena Bojarska.

NIGDY!!!

5)

Z. MORAWSKA.

POWIEŚĆ Z R. 1813.

Przedruk i tłumaczenie wzbronione

— A cóż się tu dzieje, do stu kartaczów! — huknął od proga.

Niewiasty w jednej chwili płakać przestały, a zwróciły się do niego i przybyłych z nim dwu innych również wiekowych mieszczan.

— A tak, tak, wszyscyście trzymali za *Napoljonem*, każdy namawiał, kogo mógł, żeby szedł za nim, oddawał ostatni grosz, byłby sam poleciał, żeby jeno mógł zbierać nogami — a teraz co!? — wołały wszystkie razem, nie dając przybyłym przyjść do słowa.

— Te, te, te! przywtarzał pan Maciej, a dwaj jego towarzysze uśmiechali się urągliwie.

Kiedy się niewiasty już wygadały i znowu płakać poczęły, ocierając hałaśliwie nosy, pan Maciej się ozwał:

— Czego wy wrzeszczycie?

— Ten jeszcze pyta czego? moiście wy! — zawołała godna jego towarzyszka.

— Boć, co się stało, to się nie odstanie — zdołał wtrącić jeden z przybyłych, imieniem Rafał, a z profesji siodlarz.



Książę Józef Poniatowski na koniu.

— Na wojnie, jak na wojnie, raz jeden to znów drugi pod koniem—ozwał się imci pan Jacenty,—ślusarz doskonały, szepleniący nieco z powodu odciętej połowy zwierzchniej wargi, którą zasłaniał suto rozrosłym wąsem po drugiej stronie.

— Ja sam, gdym był z *Napoljonem* pod generałem Sokolnickim w Hiszpanii...

— A niech go tam i *Napoljona* i waszą Hiszpanją!—przerwała pani Maciejowa.

— My tu radzimy, jakimby sposobem resztkę mienia ocalić, a ten będzie opowiadał o Hiszpanji i tym zbóju *Napoljonie!*—wrzasnęła zaperzona Jacentowa.

— Nie wart nawet, żeby jego imię przez nasze usta przeszło,—poparła ją Rafałowa.

— Jeno mi wara od poniewierania imieniem wielkiego cesarza!—huknął małżonek.

— Nie powiodła mu się ta wojna—prawda,—a no przyjdzie i wszystko naprawi!—a taki on był i będzie wielkim cesarzem!—zakończył pan Maciej—uderzając pięścią w stół, aż szyby w oknach się zatrzęśły.

— No i gadajże tu z nimi!—miasto radzić, jak się uchronić od pomsty i gniewu cesarza Aleksandra, który lada chwila się zjawi,—oni sławią *Napoljona!*—ozwała się załamując ręce jakaś jejmość.

— Przyjdzie, ta i będzie cesarz Aleksan-

der,—cóż robić!—rzekł z determinacją pan Jacenty.

— Nie słyszałeś to, co śpiewała ta nawiedzona, jakie kary spaść mają na nas!—krzyknęła małżonka.

— Toć mówią, że kamień na kamieniu nie zostanie z całego miasta!—wołała inna.

— Radźta przecie, gdzie schować resztę mienia, co go francuziska nie pokradli, żeby było na czarną godzinę!—mówiła, wycierając głośno nos—Maciejowa.

— Schować, to ono nie zawadzi,—poparł ją małżonek.

A od siebie dodał:

— Gdyby przyszedł znów *Napoljon*, to by się nietylko dla siebie, ale i dla tych, co z nim pójdą, przydało.

— Oj, żeby nie ta noga, tobym i ja poszedł!—westchnął.

A inni snąc też sobie coś w głowie sumowali, bo pan Rafał zanucił:

— Na wojence jak to ładnie...

Towarzysze mu zawtórowali; kobiety nie zważając na nich, trajkotały jedna przez drugą.

— Miasto mruczyć coś pod nosem, lepiejbyście uradzili, czy wyjść z chlebem i solą, paść do nóg najjaśniejszemu Aleksandrowi, prosić go o miłosierdzie, czy...

— Idźże waćpani na ratusz, albo i do jaśnie wielmożnych, co się tu zjechali na naradę i powiedz, jak i co,—to cię najpewniej posłuchają!—przerwał mówiącej urągliwie Jacenty.

Z tem wszystkim poszeptał coś z towarzyszami i wyszedł wraz z Rafałem.

Rozeszły się i kobiety. Pan Maciej i jego małżonka poczęli robić wyłom w ścianie nad kominem i zebrawszy całe swoje mienie, włożyli w garnek, aby go wsunąć w przygotowany otwór.

W tem Maciejowa zwróciła się do córki:

— Antosia, dawajno dukata!

— Jakiego dukata?—spytała opryskliwie dziewczyna.

— A no, tego coś go dostała od jenerała, jakieś mu podała ognia do fajki, gdy szli w tamtą stronę.

— Juści,—trzymałabym pieniądz.

— A cóżeś z nim zrobiła?—zawołała matka.

— Wydałam!—odrzekła dziewczyna stanowczym głosem.

— Tyle pieniędzy! naco? poco? — krzyknęła matka.

— Pieniądze są na to, żeby je wydać!—odburknęła Antosia.

I pochwyciwszy chustkę wybiegła.

— Ty marnotrawnico, dam ja tobie! — krzyknęła matka, rzucając się za nią.

— Daj spokój! — juści szkoda tyle pieniędzy, — ale już się nie wróca, a czas zamurować dziurę, żeby kto nie podpatrzył — perswadował małżonek.

I zaczął zalepiać otwór ze skarbami myśląc:

— Niechby jeno przyszli nasi, oddałbym, oddał...

I westchnął.

A żona jego mruzczała:

— I gdzie ta szelma podziała tyle pieniędzy?.. zbiję ją na kwaśne jabłko, zbiję!..

Antosia tymczasem podeszła do kuźni, a widząc w niej Franka, czeladnika, trzymającego kawał żelaza w rozpalonym piecu, zapukała trzy razy do okna.

Chłopak obejrzał się, a zostawiwszy żelazo w ogniu, wybiegł jak stał z zakasane mi rękawami przed kuźnię. Ciemno było zupełnie, lecz na białym śniegu, przyparta do ściany, odznaczała się postać dziewczyny.

Uśmiechnął się, aż mu zabłysły białe zęby, wziął ją za rękę, lecz nim zdążył słowo wymówić, Antosia rzekła:

— Słuchaj, lada chwila mają wejść wojska rosyjskie, nie mamy tu co siedzieć, zabieraj się, pójdziemy za naszymi, którzy dziś wyszli!

Mówiła to jednym tchem, ale głosem stanowczym, nie cierpiącym perswazji.

Wreszcie chłopak opamiętał się i spytał:

— Jakto i ty pójdiesz?

— Albo co, — może będę czekała aż mi każą lizać się tym, co wejdą!—odparła energicznie dziewczyna.

— Dziewucha przy wojsku... — począł Franek.

— Cóż to ty myślisz, że jeno chłopaki miłują ojczyznę?—przerwała.

— Przebiorę się za żołnierza, mam już wszystko gotowe, nikt nie pozna,—pójdziemy zaraz,—szykuj się!

To mówiąc, podała mu zawiniątko ukry-

te pod chustką, a sama zniknęła w ciemnej komórce, przylegającej do kuźni.

Rozwinął zawiniątko, a ujrawszy stary płaszcz żołnierski i czapkę, pokazał znów białe zęby w uśmiechu.

Umył się co tchu i niespełna w kwadrans był już w płaszczu żołnierskim.

— Ale, a broń?! — szepnął. — Poszedł więc w kąć kuźni, tam z pod stosu starego żelazstwa wyjął krótki mieczyk i pistolet.

Uśmiechnął się znów do nich.

— Ba, to dla mnie, — a przecież trzeba i dla Antosi... — mruknął do siebie.

Poszukał znów między żelazstwem.

Znalazł jeszcze krótszy mieczyk, poszczerbiony,—bez pochwy, — pistolet jeszcze więcej dający wątpliwość o swej sprawności, a obejrawszy je, rzekł:

— Mieczyk trzeba trochę sklepać!..

I zsunąwszy płaszcz z ramion, wziął się do roboty.

Ale zaledwie parę razy uderzył, gdy się ozwało znane mu niecierpliwie pukanie.

Przed drzwiami stał młodziutki żołnierz, w czapce mocno nasuniętej na czoło.

— Jeno sklepię nieco mieczyk dla ciebie!—ozwał się chłopak—spoglądając na towarzysza z zadowoleniem.

— Dawaj, jaki jest! — rzuciła Antosia—wyciągając rękę.

Cofnęła ją jednak i zakomenderowała:

— Ruszaj, a prędko, raz, dwa!

A potem głosem gderliwym mówiła:

— Nie miałeś to czasu pierwszej tego uczynić! — oni wszyscy tacy, — zawsze na ostatnią godzinę odkładają!

Ale Franek tego nie słyszał. Wbiegł bowiem do kuźni, a po energicznym uderzeniu młota, znać było, że nie próżnował.

Po chwili wyszedł, podając przebranej pistolet i mieczyk wcale błyszczący.

Pochwyciła jedno i drugie — przypasała mieczyk na rzemyku, zatknęła pistolety za pasek i rzekła:

— Mam dukata, będzie na złą godzinę!

I wzięwszy Franka za rękę, zniknęła wraz z nim w ciemności.

STANISŁAW BEŁZA

NAD ŻŁOTYM ROGIEM

TOM I.

3)

I brzeg europejski, przed którym właśnie znajdujemy się, i ten tam po przeciwległej stronie, azjatycki, piętrzą się amfiteatralnie ku górze, i niby w ramy, obejmują wody, zdające się z wodami Morza Czarnego stanowić jedną wielką całość. Ramy te nie unoszą się zbyt wysoko, nie odcinają stromo od siebie, ale jak łańcuch, o ogniwach niewielkich i ściśle z sobą spojonych, ciągną długo na południe.

Wygląda to i wdzięcznie, i pięknie, po jednostajności powierzchni wodnej i po pustkowiu rumuńskiego wybrzeża, podobać się każdemu musi, a podobać się musi tembardziej, ile że się do każdego przymila, zielenią porastających wszystko krzewów i drzew, pieści każdy zmysł wzroku, jasnymi barwy jaśminów, heliotropów i róż.

Ale i słodkie, i piękne, nie jest to przecież jeszcze wspaniałem, zapowiada coś niezwykłego co prawda, samo przecież za niezwykle uważaniem być nie może, i na znacznej przestrzeni, od dwóch baszt genueńskich do Rumili Kavak, gdzie mityczny Jazon ołtarz na cześć bogów nieśmiertelnych miał postawić, daje obrazy ciekawe, niezawodnie, nieuderzające przecież niczem takim, coby usprawiedliwiało te wykrzykniki, jakie już w tem miejscu, z piersi zawsze do entuzjazmu skłonnych podróżnych, tylokrotnie się wyrywały.

Jeżeli jednak ta część Bosforu, zdaniem piszącego niniejsze słowa, mniej nieco na uwagę zasługuje, to za to ta, jaka następuje po niej i nieprzerwaną linią ciągnie się do Żłotego Rogu, najwybredniejszego zwolennika uroczych widoków zdolną jest wprowadzić w prawdziwy zachwyty.

Składa się na to wiele zaiste przyczyn.

Jak już zaznaczyliśmy wyżej, Bosfor od strony Morza Czarnego, przedstawia się jak gdyby zatoka morska.

Nierównej szerokości, jest on w tem miejscu najszerszym, i dopiero za Rumili Kavak, zwęża się i upodabnia do wielkiej rzeki. Najszerszy, jest też tu i najmniej zaludnionym; widzisz na jego brzegach po jednej i po drugiej stronie wprawdzie maleńkie wioski,

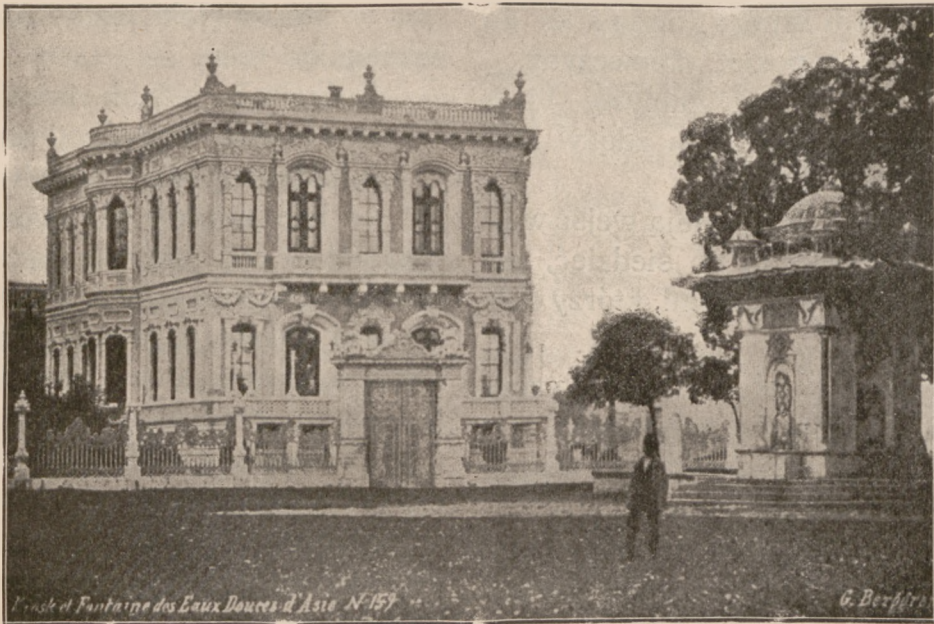
nie spotykasz przecież ani osad większych, ani willi, ani pałaców. Sprawia to zatem, że oko patrzącego, szukając tu, jak wszędzie, życia, i nie znajdując go wcale, lub znajdując bardzo mało, rychło się nuży jednostajnością panoramy, która będąc piękną, jest przecież jak gdyby bezduszną, i jako taka, do duszy patrzącego nie przemawia.

Ale to tylko do Rumili Kavaku, i gdy się ruiny starego jego zamczyska minie, wkracza się w świat tak czarodziejski i uroczy, że zaiste wszystko, co się kiedyś o nim czytało, maleje i blednie, jak migotliwe światło pochodni nocnej, w obec majestatycznego blasku słońca.

Do Rumili Kavaku, Bosfor ciągnie się długą, prostą linią, za tą miejscowością robi skręt, skręt nie gwałtowny, ale przecież wyraźny. Odcina się od europejskiego brzegu, zrazu się zwęża, to znów rozszerza, z zatoki przemienia się w rzekę, z rzeki znowu w zatokę, a między Bujukdere i Terapią, daje obraz okrągłego jeziora.

Sprawia to widok niezwykle, a urok i potęgę jego podnosi to, że ta rzeka, ta zatoka i to wreszcie jezioro, pulsują życiem dokoła. Góry, jak były u wejścia do Bosforu, i tu są, ale jest i to, co wszystkie góry rozwesela, co je pozbawia tej melancholji i smutku, jakie są zawsze nieodłączną ich przynależnością, ilekroć człowiek jest wśród nich rzadkiem zjawiskiem.

Tu człowiek jest, widzi go się na każdym kroku, czuje się jego obecność wszędzie. I jaki człowiek! Nie ten pierwotny i zamknięty w ograniczonych potrzebach zwierzęcego życia, zadawający się byle czem i mieszkający byle jak, ale człowiek wykwintny, i wyciskający na wszystkim, co go otacza, piętno dobrego smaku, — człowiek euro-



Pałac w „Słodkich wodach Azji“.

pejskiego komfortu. I rzecz szczególna, ten Bosfor, to Turcja; Turcja, to zacofanie i Azja. A przecież, kiedy się środkiem jego po przebyciu Rumili Kavaku płynie, nie widzi się zacofania, ani Azji.

Bujukdere, to stacja klimatyczna europejska, o wspaniałych, wygodnych hotelach, gdzie słyszysz wszystkie

języki Zachodu, spotykasz tłumy ludzi z Zachodu, Terapia, — jeden rząd pysznych pałaców, urządzonych ze smakiem, jakiego pozazdrościć mógłby jej nawet Paryż.

Za Terapią, na azjatyckim brzegu, romantyczny Beikos zarywa coś z innego świata, ale zaledwie odwrócisz wzrok w przeciwną stronę, Jeni Kioi i Stenia przenoszą cię znów do Europy. A im dalej, tem tej Europy więcej, co się zaś Bebeku tyczy, to gdy się go dostrzeże z daleka, zapomnieć doprawdy można łatwo potem, że jest się w Turcji, o niecałą godzinę drogi od jej stolicy. I tylko tu i owdzie strzelający ku niebu minaret, ukrytego w cieniu drzew meczetu, przypomina ci, gdzie się znajdujesz, i tylko jaskrawe fezy na głowach spotykanych co krok Turków i nie Turków mówią ci wyraźnie, że tu półksiężyc panuje wszechpotężnie nad krzyżem. Wrażenie przecież ogólne jest takie, jakby się było gdzieś bardzo blisko, w otoczeniu, z którym się od dziecka żyło, i gdzie tylko, jakgdyby dla różnaitości i zabawki, poustawiano ludzi i budynki, do których nie przyzwyczyli się oko.

Ten kręcący się bezustanku, jak młoda dziewczyna w tańcu, Bosfor, przypomina mi, że jest on wytworem wielkiego kataklizmu.

Jak wiadomo, kraj, środkiem którego dziś się wije: Rumelja i Anatolja, stanowiły niegdyś jeden ląd.

Ląd ten był szerokim międzymorzem, oddzielającym wody dzisiejszego Morza Czarnego od wód Morza Marmara, łączył w tem miejscu Europę z Azją, i był jakgdyby wielkim pomiędzy niemi pomostem.

Kiedy tak było, orzec doprawdy trudno; że tak było jednak, świadczyć ma jedna i ta sama tu i tam natura gruntu i pokładów skalistych.

Ale przyszła rewolucja podziemna, jedna z tych, które ostatecznie nakreśliły mapę ziemi, i nastąpiło pomiędzy dwiema częściami świata gwałtowne rozdzielanie.

Wody Morza Czarnego wtargnęły w ląd, i złączywszy się z siłami podziemnymi, wążką nitką przedostały się na szersze i powietrzniejsze przestrzenie. I odprowadzają już ku tym przestrzeniom cały ich nadmiar, a odprowadzają z gwałtownością, do pojęcia doprawdy niełatwą.

Kiedy się czyta, że w ciągu jednej sekundy, trzydzieści tysięcy metrów kubicznych wody tą drogą przelewa się w Morze Marmara i dalej w Śródziemne, wierzyć się temu nie chce; dokładne przecież naukowe obliczenia przekonywują wszystkich niedowiarków, że tak jest rzeczywiście. I choć ten szalony prąd wody, spotkawszy się w Bosforze z drugim przeciwnym prądem, cząstkę jej roni po drodze, nie roni jej przecież wiele, i zawsze kolosalne masy wód, tą drogą wędrują bezpowrotnie z północy na południe.

A wędrując, żłobią fantastyczne koryto, tworzą na drodze swojego pochodzenia siedem zatok i tyleż przylądków, i zraszając stosunkowo wązki pas ziemi, środkiem którego kręcą się figlarną nitką, w jasnym swem lustrze odbijają florę, prawdziwie ubłogosławionego przez wspaniałomyślne niebo, w tem miejscu, południa.

Cyprysy, laury, platany, piętrzą się tuż po obu

stronach wybrzeża, raz zstępują ku powierzchni wody, to znowu na wierzchołkach niewielkich pagórków kupią się ku sobie, łącząc w malownicze i wdzięczne grupy, i pod tem niebem, nad temi falami, tuż przy tych gmachach, wśród tego życia, tych blasków, i tej woni, tworzą całość, pełną zaiste niezwykłego uroku i wdzięku.

Zaznaczyliśmy, że przy wejściu z Morza Czarnego do Bosforu znajdują się dwie stare baszty.

Baszt takich spotyka się coraz więcej, w miarę, jak posuwamy się w jego głąb.

Oba brzegi, europejski i azjatycki, usiane są niemi obficie, sterczą więc na wzniesieniu ponad jego wodami w różnych miejscach.

Ale opuszczenie, w jakim się znajdują, jest doprawdy bezprzykładnem.

Jak gdyby nie mówiły one o niczem, jak gdyby nie przypominały niczego, niszczyć powoli w godnym potępienia zaniedbaniu, i maluczko, a nie pozostanie z nich śladu.

A jednak, jakichże bohaterskich czynów były tu one martwymi świadkami, jakie okrzyki obijały się kiedyś o ich ściany!...

Nie obchodzi to przecież tych, którzy tu panują dziś, nic. I któż się temu dziwi?

Obojętna i okrutna dla żywych Turcja, miałaby być troskliwą i miłościwą dla zmarłych? To też ani troskliwą, ani miłościwą nie jest, to też o nich zupełnie nie dba, a nie dbając, nie troszczy się bynajmniej i o pamiątki, jakie po nich pozostały.

Czas więc robi tu powoli swoje; mury przemieniają się powoli w gruzy, trzech czwartych dziś już ich niema, a pozostała dotąd reszta zniknie z powierzchni ziemi, jutro.

I tylko porośle na tem rumowisku cyprysy i laury szeptać będą w niedalekiej niezawodnie przyszłości przejezdnym tą wodną drogą, o krwawych potyczkach, w tem miejscu, Genuńczyków z Wenecjanami, i strasznych zapasach wyznawców półksiężycy z czcicielami Krzyża, i tylko na starych rycinach pozostaną obrazy tych warowni, jakie wznosił nad Bosforem najgłośniejszy z następców proroka, zanim, usadowiwszy się w nich silnie, rzucił się z zasadzki na perłę Złotego Rogu, jak na obezwładnioną zdobycz — kot.

Wybrzeża Bosforu, ludne już od Rumili Kavak, za Rumili Hissar, gdzie dotąd widać jedną z takich warowni Mahometa II, wpisanych niestety w szereg znikających z powierzchni ziemi, nabierają coraz więcej ożywienia.

Statek mija, nie zatrzymując się nigdzie, Bebek, kolonję przeważnie europejską, Arnautkioi, wielką wieś grecką, Kuruczesme, siedzibę Armeńczyków.

W oko wpada mały prześliczny budynek. To słynny meczet, prawdziwa ozdoba Ortakioi, wzniesiony w tem miejscu, dzięki ofiarności matki nieszczęśliwego Abdul Azisa.

O. CONAN DOYLE.

ZAGINIONY ŚWIAT

OPOWIEŚĆ O ZDUMIEWAJĄCYCH PRZYGODACH
PROFESORA JERZEGO CHALLENGERA, LORDA
JOHNA ROXTONA, PROFESORA SUMMERLEE I
PANA EDWARDA MALONA, CZŁONKA REDAKCYI
„GAZETY PORANNEJ“.

c. d.

PRZEKŁ. ANG. M. G.

Czterdzieści sześć nowych odmian z rodziny tęgo-pokrywych (coleoptera) i dziewięćdziesiąt cztery z rodziny łuskoskrzydłych (lepidontera), zdołali podróżnicy zgromadzić w ciągu kilku tygodni. Lecz największe zajęcie wzbudziły szczegóły o zwierzętach większych, tych zwłaszcza, które uważano, za zupełnie zaginione. Profesor mógł przytoczyć długi ich szereg, lecz nie podlega wątpliwości, że przy ściślejszem zbadaniu kraju, ilość ta powiększy się znacznie. On i jego towarzysze widzieli przeważnie zdaleka kilka stworzeń, najzupełniej dotąd nieznanych. Dopiero w przyszłości mogą one być zbadane i wciągnięte do klasyfikacji.

Wspomniał naprzykład o wężu, którego zrzucona skóra, ciemno-purpurowego koloru ma pięćdziesiąt pięć stóp długości; o jakimś stworzeniu biało zabarwionem, prawdopodobnie należącym do rodziny ssących, które w ciemności wydaje blask fosforyczny; o wielkiej, czarnej ćmie, której ukąszenie, jak mówili Indianie, jest bardzo jadowite.]

Pominąwszy jednak tę grupę „nieznanych“, na płaskowzgórzu żyje dużo znanych z przedhistorycznej epoki stworzeń; niektóre z epoki Jurajskiej. Wśród nich wymienił olbrzymiego i dziwaczного „stegosaurusa“, którego pan Malone widział w nocy pijącego wodę w jeziorze, a naszkicowanego w albumie odważnego amerykańczyka, Maple Whita, pierwszego odkrywcy tej krainy. Opisał też „iguanodony“ i „pteroaktyle“, widziane przez wędrowców zaraz po przybyciu.

Przeraził słuchaczy opisem drapieżnego mięsożernego „dinosaurusa“, który parokrotnie napadał wędrowców, i był najgroźniejszym ze wszystkich zwierząt, poznanych w kraju Maple Whita. Wspomniał o wielkim i dzikim ptaku, zwanym „phororachus“ i o olbrzymim łosiu żyjącym dotąd na tem płaskowzgórzu. Lecz największe zdumienie obudził opis tajemniczego jeziora. Trudno było wierzyć własnym oczom gdy ten trzeźwy, zimny uczonek, spokojnie i systematycznie opowiadał o potwornych „jaszczurkach-rybach“ z trzema oczami, o potężnych wężach wodnych, zamieszkujących te wody.

Przeszedł potem do szczegółów o mieszkańcach tego kraju, Indianach, o kolonii małp „antropodów“, zbliżonych najwięcej do „pithecasetropusa“ z wyspy Jawy. Opisał znakomity, lecz wielce niebezpieczny wynalazek profesora Challengeera, a zakończył wyjaśniając, jaką drogą członkowie wyprawy zdołali powrócić do ucywilizowanego świata.

Zdawało się, że na tem będzie koniec, że zebranie, zakończy się wyrażeniem podziękowania i uznania dla członków wyprawy, zaprojektowanem przez profesora-delegata z Upsali, gdy niespodziewanie wystąpiły

objawy opozycji, zapowiadające się zlekka od samego początku.

Powstał dr. James Illingworth z Edyburga, siedzący na środku sali i zapytał, czy nie należy przed zakończeniem zebrania, uchwalić pewne poprawki?

Przewodniczący, księżę Durham. — Naturalnie, jeżeli zachodzi potrzeba jakiegokolwiek poprawki.

Dr. Illingworth. Wasza wysokość! uważam, że poprawka jest konieczna.

Przewodniczący. Więc zechciej pan objaśnić do czego się ma odnosić.

Profesor Summerlee (zrywając się gwałtownie). Czy wolno objaśnić Waszą Wysokość, że ten człowiek jest moim osobistym nieprzyjacielem, od czasu naszego zatargu w „Kwartalniku Naukowym“, w kwestji rzeczywistego charakteru „bathybiusa“?

Przewodniczący. Bardzo mi przykro, lecz nie mogę wkraczać w dziedzinę osobistych stosunków. Proszę przedstawić żadaną poprawkę.

To, co mówił następnie dr. Illingworth trudno było usłyszeć, z powodu gwałtownej opozycji stronników prof. Challengeera. Próbowano nawet ściągnąć z estrady dr. Illingwortha, ale, że to był człowiek olbrzymiego wzrostu i obdarzony potężnym głosem, zdołał wreszcie zapanować nad zamieszaniem i dokończyć swej przemowy. Od chwili, gdy powstał z miejsca, ujawniło się, że w sali jest znaczna liczba jego stronników i życzliwych, choć stanowiących mniejszość wśród zebranych. Przeważna zaś część publiczności zachowywała neutralność i słuchała z wytężoną uwagą.

Dr. Illingworth zaczął od pochwał, któremi wyraził swe uznanie dla naukowej pracy obu profesorów. Przykro mu, że w tem co mówił, a co mu podyktowała jedynie chęć wyświetlenia prawdy, upatrywano oddźwięk osobistej niechęci. Zajmuje on zupełnie takie same stanowisko, jakie na ostatniem zebraniu zajmował był profesor Summerlee. Na owem zebraniu profesor Challenger mówił o swych odkryciach, którym kolega jego zaprzeczał. A teraz ten sam kolega występuje z takimi samymi odkryciami i żąda by je przyjęto bez opozycji. Czy ma prawo do stawiania takich żądań?

Wśród zebranych rozlegają się okrzyki „Tak“ i „Nie!“ Poczem następuje przerwa skutkiem gwałtownej wrzawy. Podczas zamieszania sprawozdawcy dziennika słyszą, że profesor Challenger domaga się od przewodniczącego pozwolenia, na wyrzucenie za drzwi dr. Illingwortha).

Po uciszeniu się wrzawy, dr. Illingworth mówi dalej. Przypomina, że przed rokiem jeden uczonek w tej samej sali opowiadał o swych odkryciach. Obecnie, czterej ludzie powtarzają toż samo i dodają jeszcze więcej zdumiewające szczegóły. Czy to ma stanowić niezbity dowód istnienia tego, o czem mówią?

Widzieliśmy w ostatnich czasach podróżników, powracających z nieznanych krain z opowieściami, którym bezkrytycznie dano wiarę. Czy Towarzystwo zoologiczne w Londynie ma uczynić to samo. Mówca przyznaje, że członkowie wyprawy cieszą się opinją ludzi uczciwych. Ale ludzka natura jest tak skomplikowana. Nawet uczonych profesorów może skusić żą-

dza rozgłosu. My wszyscy. jak ómy, lubimy się pła-
wić w blasku... A tu każdy członek wyprawy ma swo-
je powody do przechwalania się dokonaniami dziełami.

(Krzyki: „Hańba! hańba!”)

Mówca nie chce nikogo obrażać...

Ktoś woła: „Ale pan znieważasz!”

...Jakież dowody podróznicy mogą przedstawić na
stwierdzenie tego o czym opowiadają? Fotografje? Wia-
domo wszystkim, że obecnie fotografje można fabryko-
wać według woli. A więcej? Jakaś opowieść o spu-
szczaniu się ze skał na linach, co przeszkodziło spro-
wadzeniu większych okazów. Podobno lord John
Roxton utrzymuje, że posiada czaszkę „phororachusa”.
Mówca radby zobaczyć tę czaszkę.

Lord Roxton. Czy ten człowiek ośmiela się robić
mnie kłamcą?! (wielka wrzawa).

Przewodniczący. Spokojnie! spokojnie! Zmuszo-
ny jestem prosić mówcę o sformułowanie zarzutów
i wyraźne określenie żądanej poprawki.

Dr. Illingworth. Wasza wysokość! miałbym jesz-
cze dużo do powiedzenia, lecz poddaję się rozkazowi.
Żądam więc następującej poprawki:

„Oprócz podziękowania profesorowi Summerlee za
jego zajmujący wykład uznać wywody mówcy za „nie-
prawdziwe“ i powierzyć całą sprawę do zbadania li-
czniejszemu, i o ile można, wiarogodniejszemu komple-
towi ludzi, którzyby przedsięwzięli nową wyprawę dla
sprawdzenia przedstawionych nam odkryć”.

Trudno opisać zamęt wywołany tą propozycją:

Znaczna część zgromadzonych wobec takiej na-
paści na podrózników, wyraziło swoje oburzenie ha-
łaśliwymi okrzykami: „Nietrzeba poprawki!“ „Cofnąć
ją!“ „Za drzwiami z nim!“ Z drugiej zaś strony przeci-
wnicy podrózników, a nie można zaprzeczyć, że liczba
ich była pokaźna, hałaśliwie domagali się poprawki,
i krzycząc: „Cicho!“ „Do porządku!“ „Równe prawa
dla wszystkich!“ W ostatnich ławkach zawrzała bójka
między studentami medycyny tam natłoczonymi, i gdy-
by nie kojący wpływ obecności dam, byłaby się zamie-
niła w ogólną bijatykę.

Lecz nagle nastąpiła przerwa, wrzawa ucichła,
zapanowało głębokie milczenie. Profesor Challenger
stał na środku estrady i podniósł rękę, na znak, że
chce mówić.

Żyją dotąd w pamięci obecnych — zaczął — takie
same głupie i nieokrzesane sceny, na ostatniem zebra-
niu, na którym miałem zaszczyt przemawiać. Wówczas
profesor Summerlee był głównym winowajcą, a choć
obecnie skruszony zmienił zdanie, niemożna tych wspo-
mnień wymazać zupełnie z pamięci. Dziś, usłyszeliśmy
podobne, lecz więcej jeszcze ubliżające zarzuty z ust
osobnika, który przed chwilą usiadł, a choć trzeba
wielkiego poświęcenia miłości własnej, ażeby zniżyć
się do jego poziomu umysłowego; zdobędę się jednak
na to, dla rozproszenia nawet cienia wątpliwości, jaka
by mogła powstać w myślach obecnych tu słuchaczy
(Głośne śmiechy przerywają mówcy). Nie potrzebuję
przypominać, że lubo profesor Summerlee, stał na czele
wyprawy, mającej za zadanie sprawdzenie moich twier-
dzeń, ja byłem główną osobą w tej wyprawie i „mnie“

głównie należy przypisać jej powodzenie. Doprowa-
dziłem tych trzech panów do wskazanej miejscowości
i przekonałem zupełnie o prawdzie tego co opowiada-
łem. Mieliśmy nadzieję, że nie znajdzie się nikt tak
ograniczony, by śmiało poddawać w wątpliwość nasze
wspólne odkrycia. Ale ja, nauczony dawniejszem do-
świadczeniem, nie powróciłem bez dowodów, wystar-
czających dla ludzi niepozbawionych zdrowego rozsąd-
ku. Jak już mówił profesor Summerlee, aparaty fo-
tograficzne dostały się w łapy małpoludzi, kiedy splą-
drowali nasze obozowisko i większa część zdjęć uległa
wtedy zniszczeniu...

(Wrzaski, śmiechy, wołania: „Mów to komu inne-
mu!“ z dalszych rzędów).

Challenger mówi dalej:

...Mówiąc o małpoludziach, nie mogę przemilczeć,
że głosy jakie dochodzą w tej chwili do mnie, przy-
pominają mi żywo mój pobyt wśród tamtych intere-
sujących... (śmiechy),

...Lecz mimo zniszczenia wielu niezmiernej war-
tości klisz, pozostała jeszcze pewna ilość fotografii
zdjętych na płaskowzgórzu. Czy kto ośmieli się za-
rzucić, że te fotografje są podrabiane?

(Głos jakiś woła: „Tak!“ Następuje potem dłuższa
przerwa, zakończona wyprowadzeniem za drzwi kilku
słuchaczy, poczem Challenger mówi dalej).

Klisze osądzili i zbadali znawcy. Ale oprócz klisz,
czy podróznicy mają inne dowody?

Warunki w jakich uciekali, uniemożliwiły im za-
branie większych pakunków; zdołali jedynie ocalić zbiór
motyli i chrząszczów, zgromadzony przez profesora
Summerlee. W zbiorze tym są nowe nieznane dotąd
odmiany. Czy i to nie jest dostatecznym dowodem?
(Kilka głosów woła: „Nie!“). Kto powiedział „Nie“?

Dr. Illingworth powstaje i mówi:

Według naszego mniemania zbiór taki może być
zebrany także w innych krajach, niekoniecznie na przed-
historycznem płaskowzgórzu (oklaski).

Profesor Challenger. Czcigodny panie! schylamy
w pokorze głowę przed taką uczonością, choć sprawie-
dliwość nakazuje dodać, że imię pańskie nieznane jest
na polu nauki. Pomijam tedy takie dowody jak przy-
wiezione przez nas fotografje i zbiory entmologiczne,
a powołuję się, na szczegółowe i dokładne wiadomości
co do rozmaitych zwierząt, wiadomości nieznane dotąd.
Naprzykład o zwyczajach pterodaktyłów...

(Głos z tłumu: „Ba!“ i wybuch śmiechu).

...O zwyczajach pterodaktyłów mówię, na które
możemy teraz rzucić pewne światło. Mogę też przed-
stawić szkic pterodaktyla, zdjęty z natury, co was prze-
kona...

Dr. Illingworth. Żadne rysunki nas nie przekonają!
Profesor Challenger. Więc może życzyłbyś pan
sobie ujrzeć pterodaktyla żywego?

Dr. Illingworth. Naturalnie.

Tajemnica starego zamczyska.

5)

OPOWIADANIE Z DAWNYCH CZASÓW, PRZEZ AD. KONECZNĄ.

Przez otwarte drzwi płynęły z ogrodu wonie leśne z drżącymi promykami gwiazd lub z bladą światłością księżycy.

Ciotka uderzyła kilka akordów, major zagrał na gitarze przygrywkę i przy wtórze klawikordu z gitarą, obaj z rotmistrzem rozpoczęli pieśń, starą, prastarą pieśń.

Nieruchomy w poręczowym krześle swoim, słuchał tej pieśni pułkownik, słuchała Hala u drzwi ogrodowych, wpatrzona w ciemne gęstwiny ogrodu.

A pieśń przez drzwi otwarte płynęła z ogrodu, gdzieś, w daleką dal, płynęła donośna, od drzewa do drzewa, od wzgórza do wzgórza, czepiała się po gałęziach starych spróchniałych lip, po białych pniach przybranej w wieńce chmielu brzeziny, budząc dalekie sercem odczute echa... dawno minionych dni!..

„Hej—tam na górze

„Jadą rycerze!

„Puk—puk w okieneczko

„Wyjdź i otwórz panienczko

„Koniom wody daj!

„Koniom wody daj!..“

A stare lipy i dęby szumiały w głębi ogrodu, jak gdyby chciały wtórować pieśni, przypomniawszy niegdyś, niegdyś słyszane dźwięki, jak gdyby liśćmi ich poruszało westchnienie duchów!..

Za tą pieśnią zaśpiewali drugą i trzecią, również starą, prastarą, proste były słowa tych pieśni, jak pełne prostoty były czasy, w których je składano, a przecież pułkownik zdawał się zapominać o chwili obecnej i niby czarem owiany, wsłuchiwał się w te dobrze niegdyś znane dźwięki, oczy jego traciły swój straszny wyraz i stawały się tylko głęboko, nieskończenie smutne... co spostrzegłszy Hala, podchodziła do stryja i kładła jasnowłosą główkę na jego ramieniu.

Wszechwałną jest siła wspomnień!

Westchnienia, poruszające gałęzie dębów i lip, wilgotna woń wieczorną rosą zwilżonych traw, pieśń tych dwu, bliznami okrytych żołnierzy i główka niewinnej dziewczeczki wsparta na ramieniu, życiowym męczeństwem zbolełego starca, wszystko to razem zlewało się w jeden uroczysty hymn wieczorny.

* * *

Tymczasem zwałiska zamku pozostały dotąd dla Hali nierozwikłaną zagadką, kryjącą niezbadaną tajemnicę, niezmiernie ją zaciekawiając.

Wprawdzie była parę razy w tem gnieździe sów i puszczyków, jednak nic tam nie widziała ani słyszała, coby mogło jej wyjaśnić przesadną sławę, jaką te mury miejscowa ludność otoczyła, ale, ale pewnego wieczora wywołała ją do ogrodu Olanka.

— Pannusiu, pannusiu!.. proszę-no za mną!..

Hala wybiegła.

Ogród w Jarowcach tak już był opuszczony, że wyglądał jak las, podszyty mnóstwem paproci, tarniny, zdziczałej róży, oplątany całą siecią chmielu i powój-

ki. Parę krętych ścieżek przerzynało ten istny labirynt gęstwiny, a jedna z nich wiodła do ruin zamku, co się wznosiły na wzgórzu nad rzeką.

Tą właśnie ścieżką powiodła Halę Olanka, a gdy stanęły u parkanu, którym się ogród odgraniczał od łąki, zatrzymały się obie. Ciemno już było zupełnie, więc chociaż z tego miejsca ruiny zamczyska w dzień były widne jak na dłoni, w tej chwili przedstawiały się tylko jak czarna, nieforemna masa.

— Proszę — pannusiu spojrzeć tam pod zamczysko—czy widzi pannusia?—rzekła Olanka.

— Widzę... światełko jakieś!—odrzekła zdziwiona Halina—niby z ziemi błędny ognik!.. z pewnością błędny ognik...

Ale w tej samej chwili światełko zgasło i potem ukazało się w górze.

— Nie!—co bo to naprawdę być może!—zawołała Halina.

Światełko zagasło znów... napróżno czekały młode dziewczyny, już się tego wieczora nie pojawiło.

— Ach! tak mię to zaciekawia — ozwała się Halina — poszłabym jutro do zamku, obejrzałabym każdą cegielkę, każdy kamyczek i cośbym może spostrzegła, cośbym odkryła, ale cóż robić, ciotuchna tam chodzić zabrania, nawet stryjcio major...

— A widzi panienska!—wszak ja też przestrzegalam, aby tam nie chodzić — co innego spojrzeć jak dziś, z daleka, z bezpiecznego miejsca. Bo jeśli już tam duchy gospodarzą...

— Jakie tam duchy! Olanko — przerwała Hala — ciotuchna i major mówią, że paniencie w moim wieku niebezpiecznie jest błąkać się po okolicy samej jednej! Oni i do lasu po jagody chodzić mi zabraniają, a ja zawsze starszych słucham, gdyż oni już przez samo życiowe doświadczenie wiedzą, jak w każdym wypadku postąpić należy, a przestrzegają przez życzliwość!

— I dobrze!—rzekła Olanka — tam już pannusia moja nigdy nie pójdzie — i miedzami w łań także iść nie potrzeba! Tam rusalki...

Halina się rozśmiała.

Ja się tam twoich rusalek nie lękam, a objeżdżać łąny pojadę ze stryjciem majorem konno! Wpierw mi tylko siodełko sporządzą! Mówił, że mnie nauczy jeździć na tym białym wierzchowcu arabskim... wiesz? Chciał też stryjcio nauczyć mnie z samopału strzelać, ale ja sobie tego nie życzę! Jeszcze uchowaj Boże postrzelę jaką biedną ptaszynę, albo gołąbka i potem płakać będę, na co mi to!

A jakże nasi panowie jeżdżą na łowy? Strzelają do kozłów, zajęcy, wilków, lisów?

— Oni mężczyźni, oni i na wojnie byli! Ot, jaka blizna u majora na czole. A rotmistrz biedny.., za ledwie chodzi przez te kontuzje i rany źle wygojone!

— A dziedzic, pan pułkownik czy nie był nigdy raniony?

Halina westchnęła.

— Ten to już w sercu ranę nosi.

— W sercu? — zawołała z przerażeniem Olanka.

W sercu i żyje?

— Z takim życiem! — z westchnieniem rzekła Halina, a łzy serdecznego współczucia błysnęły jej w oczach.

Podczas tej rozmowy obie dziewczeczki powróciły do domu; więc Halina, podchodząc do drzwi oszklonych, z poza których już rozbrzmiewały pierwsze dźwięki klawikordu, powiedziała jeszcze Olance:

— A ty uważaj! jeśli co ciekawego na zwałskich spostrzeżesz to mnie znów zawołaj!

— Dobrze, dobrze, złota pannusiu moja! — odpowiedziała Olanka i wkrótce, biegnąc w stronę oficyn, skryła się za gajem.

III.

A tymczasem stary rotmistrz czuł się coraz gorzej; już z trudnością zaledwie do jadalnej i bawialnej przechodził komnaty, zaś na domiar złego, rozboleły go oczy do tego stopnia, że zająć się rachunkami nie był już nawet w stanie. Przyjechał raz jeden i drugi lekarz z miasta, przywiezione różne maści i lekarstwa; jednakże cierpienie ustąpić nie chciało.

Po kilku tygodniach, rzekł chory do pułkownika:

— Cierpię podwójnie, widząc, że z mego powodu major się zapracowuje.

— A to dla czego? — zapytał roztargniony zazwyczaj Gorecki.

On w dzień objężdża folwarki, dogląda robotników i całej gospodarki a od czasu jakim na oczy zaniemógł zabrał ode mnie księgi rachunkowe i jeszcze po nocach nad nimi ślęczy!

— Hm... — zapracowuje się — mruknął pułkownik. — Och, ja stary ciemęga! i na myśl mi to nie przyszło... Cóż... przyjmę mu pomocnika...

Pułkownik silną miał wolę i co raz postanowił nieodwołalnie wykonał, pomimo więc perswazji ze strony majora, musiał sam pojechać do proboszcza, jako uświadomionego o stopniu oświaty swoich parafjan, z zapytaniem, czy nie znajduje się w okolicy jaki uczciwy i pracowity chłopak, któryby mógł zająć miejsce rachunkowego pomocnika przy gospodarstwie.

Po krótkim namyśle, proboszcz, zacny, poważny starzec, oświadczył, że wśród jego dotychczasowych parafjan niema młodego człowieka, który mógł by zająć podobne miejsce.

— Lecz — dodał — przybyła tu niedawno jakaś wdowa z synem jedynakiem, mało znam tych ludzi, ale wobec zagrażającego im niedostatku, myślę, że pułkownik spełniłby dobry i szlachetny czyn, biorąc tego jedynaka do siebie, gdyż z płacy, którą pobierać może służąc przy gospodarce, będzie mógł i matce dopomódz.

— Jakież nazwisko tego młodziana? — zapytał major.

— Zawisza Cmentarny!

— Jakto Cmentarny? Że był Zawisza Czarny

o tem wiem przecież, ale Cmentarny? Cóż to? chyba przydomek?

— Nie wiem, panie majorze — odrzekł proboszcz — tak mi go przedstawiono. Imię jego Janusz, mieszka przy matce u teścia organisty.

— A, w takim razie, poproszę pana organisty, niech mnie do tych Zawiszów zawiedzie!

— Chętnie to uczyni! Natychmiast każę go zawołać.

d. c. n.

Klub szczoteczki do zębów.

— Co to za klub?... Gdzież się taki znajduje?...

Oto tam, gdzie wprowadzają wiele pożytecznych nowości, a mianowicie w stolicy Anglii, w Londynie. Klub szczoteczki istnieje w szkołach na przedmieściach, chodzi tu o rozbudzenie wśród dzieci i młodzieży staranności w utrzymywaniu zębów, o ich dokładne czyszczenie za pomocą szczoteczki i t. d.

Kluby te zapoczątkowali miejscowi nauczyciele; oni to kupują szczoteczki w większych ilościach, odprzedają uczniom bardzo tanio (i to z możliwością spłacania jaknajmniejszymi ratami), ale i tak z pewnym małym zyskiem, który pozwala dostarczać szczoteczek biednym dzieciom zupełnie bezpłatnie.

Dzieci zostają objaśnione, w jaki sposób najlepiej używać należy szczoteczki i jak czyścić zęby.

Co to znaczy dobre, umiejętne zapoczątkowanie!

Te ubogie dzieci, nie myślące przedtem o pielęgnowaniu zębów, tak się łatwo wciągają w ten tak konieczny porządek, tak myją, tak czyszczą zęby i widocznie uważają to za rzecz bardzo dobrą, skoro rodzicom swoim i rodzeństwu kupują za swe drobne oszczędności szczoteczki do zębów, jako podarek na dzień urodzin.

Nauczyciele nie tylko na rozdaniu szczoteczek i objaśnieniu jak ich używać kończą swoją działalność, oni ciągle czuwają nad swymi wychowancami i co pewien czas każą sobie pokazywać szczoteczki, aby wiedzieć w jakim są stanie i czy nie potrzeba komu nowej.

O gubieniu i psuciu szczoteczek przez niedbalstwo, niema tu mowy, angielskie dzieci nigdy tego nie robią; szanują bardzo tak kupione rzeczy jak i darmo otrzymane; szczoteczki jednakże niszczą się przez użycie i dlatego taka kontrola jest potrzebna.

Żeby tak nasze polskie dzieci pamiętały zawsze o myciu i czyszczeniu zębów, jakby to było dobre! To tak przyjemnie mieć zdrowe, czyste i ładne ząbki, tak się nimi doskonale gryzie, nawet do zdrowia takie są potrzebne!

Helena Bojarska.

Wspomnienia pośmiertne.

Ś. P. WŁADYSŁAW BEŁZA.

Od kilku już tygodni obiegały o stanie Władysława Bełzy niepokojące wieści. Ciężkie schorzenie sklerotyczne, jak zwykle w połączeniu z niedomogą serca, nie pozwalały nawet jemu samemu ludzić się nadzieją powrotu do zdrowia. Ostatnich dni kilka wypełniło już tylko zmaganie się resztek sił życiowych ze śmiercią, która wreszcie położyła kres jego życiu.

Władysław Bełza urodził się w r. 1847 w Warszawie. Ojciec jego, Józef Bełza, był prof. chemii w Instytucie Marymonckim. Jako 18-letni chłopak, wstąpił ś. p. Władysław Bełza do wojska rosyjskiego, po zdaniu jednak egzaminu junkierskiego w wojsku, wystąpił i zaczął próbować pracy literackiej, w czym odrazu znalazł uznanie. Niebawem widzimy go w Krakowie, gdzie cieszy się dużą sympatją Wincentego Pola.

Z Krakowa rusza w świat, żądny wrażeń i poznania obcych krajów. Zwiedziwszy północne Włochy, przez Szwajcarję udaje się do Paryża. Tu poznaje się z wybitniejszymi postaciami emigracji i polskiego świata literackiego. Wreszcie jednak tęsknota za ziemią rodzinną przemaga w nim i wraca do kraju. Jedzie najprzód do Poznania. Tam z Edmundem Callierem, Ordonem i Klemensem Kanteckim zakłada „Tygodnik Wielkopolski“, który tak w literackim jak i społecznym życiu Poznańskiego odgrywa dużą rolę. Jedną z zasług owego tygodnika i redaktora jego Bełzy jest poruszenie myśli założenia teatru polskiego w stolicy Wielkopolski, którą wcielił w czyn, zorganizowawszy szeroką akcję publiczną.

Po wydaleniu przez rząd pruski z Poznania, bawił jakiś czas w Pradze czeskiej, aż wreszcie osiadł we Lwowie. Przywiązały go do gruntu lwowskiego, trwalej niż gdzieindziej zajęcia literackie i — zawarte w r. 1873 — małżeństwo. W roku 1880 założył Koło literackie Towarzystwa im. Mickiewicza.

W roku 1882 został sekretarzem Biblioteki im. Os-

solinckich, a w r. 1891 naczelnik Zarządu wydawnictw szkolnych tego Zakładu. Poza tem pisze wiersze okolicznościowe, wydaje antologję poetów polskich i помещa w pismach miejscowych i zamiejscowych wiele artykułów literackich, nie ustając w pracy aż do ostatnich chwil życia.

Ś. p. Władysław Bełza przedewszystkiem wślawił się jako pisarz dla dzieci i młodzieży.

Jego utwory wszystkie odznaczają się gorącym duchem religijnym.

K. LASKOWSKI (El.).

Któremuż z czytelników naszych nie wywołały szczerego na ustach uśmiechu, albo rzewnej łzy w oku, serdeczne pieśni Ela? Tego skromnego poety, a ulubionego przez wszystkie warstwy społeczne.

Zgasł nagle, jak płomyk ożywczy, zdmuchnięty zimnym powiewem.

A potrafił on, łatwiej niż słynni mistrze pióra, puścić do serc naszych, znaleźć do nich drogę, nucąc zawsze pieśń swojską: „to żałośnie, to radośnie, jak gdzie komu wypadnie“, wedle słów ludowego podania.

Każde ważniejsze wydarzenie w kraju, każda kłeska, albo pomyślność odzywały się wiernym echem w jego niezrównanej formy okolicznościowych wierszach, wszystkie wady i przymioty polskiej rasy zesrodkowały się i złożyły na tę prostą, a bogato uposażoną naturę.

El, syn ziemianina, urodzony na wsi, w r. 1861 uczęszczał do szkół w Krakowie, wyższe studia odbywał w Niemczech, poczem osiadł na roli, przyłgnąwszy do niej całą duszą.

Pozostało po nim kilka serji poezji, powieści prozą i parę utworów dramatycznych, a w pamięci naszej żał za tym człowiekiem, co, jak pięknie określa. Tetmajer „kocha swoją ziemię jak matkę rodzoną, nad wszystko, bez krytyki, bez zastrzeżeń, bez urągań — bo jest syn“.

Wytworny miesięcznik, „Wieś i dwór“, ostatnia jego praca, wychodzić nie przestanie.



Nowe promienie.

Oddawna już naukowe pisma w Anglii i Francji, pomieszczały sprawozdania z badań dr. Ochorowicza nad rodzajem promieni wyłaniających się z ciała ludzkiego, które pozwalają fotografować przedmioty, o jakich osobnik poddany tej próbie w owej chwili myśli. Czy na tych samych oparł się wynikach p. D'Arget, francuz, czy przedstawiał je jako owoc własnego doświadczenia, niewiadomo, ale przed paru tygodniami pokazywał w Wiedniu te pro-

mienie pod nazwą V. (Rayons Vitaux), z powyższem zastosowaniem. Człowiekowi, wybranemu przez siebie, p. D'Arget poleca skupić myśli na danym przedmiocie, poczem usuwawszy ten przedmiot, przykładając kliszę fotograficzną do czoła, a na płycie występuje odrazem negatyw. Jeżeli podobny wynalazek posiada istotną wartość dla postępu wiedzy, komuż więc z tych dwóch uczonych świat przyzna pierwszeństwo?

Piękna uroczystość.

Od r. 1220, w którym kilku kapłanów-misjonarzy, przybyłych z Europy poniosło śmierć męczeńską w Maroku, panowała tam wyłącznie wiara mahometańska; teraz dopiero, po siedmiu wiekach, krzyż Chrystusowy zjawił się w tej krainie. W świeżo zajętej przez francuzów miejscowości Marakeszu, kapelan wojskowy O. Taber odprawił niedawno pierwszą Mszę św., do której służyło 2 wyższej rangi oficerów, a cały korpus ze skupieniem wysłuchał nabożeństwa.

!! Czwarty rok wydawnictwa !!

DZIENNIK PETERSBURSKJ

== Organ kolonji polskich w Cesarstwie Rosyjskiem. ==

Bezpartyjna, polityczna, społeczna, literacka i naukowa gazeta codzienna

pod kierunkiem gen. Aleksandra Babiańskiego i przy pośrednim udziale mec. A. Lednickiego.

Współpracownictwo i korespondencje przyrzekły nam następujące osoby: L. Altberg, gen. A. Babiański, art. mal. A. Borawski, prof. Baudoin de Courtenay, J. Barchwitz, Błażewicz (Dynaburg), Bursztyński Jan, prof. St. Cybulski, Czubiński T., prof. W. Czeczott, O. Czeczott, prof. Czyński, T. Dmochowski, James Douglas, poseł prof. L. Dymśza, Dymitr Doncow (Lwów), Dworzaczek Wł. (Mińsk), Evert Wł. L. (Moskwa), Ejchler Zygm. (Moskwa), M. Gabrjałowicz, Grzegorzewski (Sofja), Stefan Kiostern. Tadeusz Hiż, St. Hłasko, poseł Harusewicz, Jankowski J., Iła Hłakowicz, Zygmunt Kinita, L. Kulczycki (Lwów), Greszczyński R., Kwiatkowski Rem. (Moskwa), Kuźmin-Karawajew, Henr. Krajewski (Syberja), Klukowski Julian (Moskwa), A. Lednicki (Moskwa), Lipaczyński Cz. (Paryż), Lorentowicz J. (Warszawa), Misiewicz L. (Moskwa), prof. Merczyng, Moczulski J. (Mińsk), Muszkowski (Warszawa), Mioduszewski (Odessa), Nieznajomy (Wilno), I. Niewodniczański ks. Około-Kułak, A. Ossendowski, A. Pankratow (Rada Państwa), L. Pantelew, poseł A. Parczewski, prof. L. Patrażycki, prof. A. Pogodin, W. Poklewski-Koziell, L. Połoński, prof. Pszenicki, prof. St. Ptaszycki, A. Saunier, K. Sokołowski (Kijów), F. Sokołow, prof. Staniewicz, poseł Święcicki, Staniszewski St. (Kazań), Wolski Stan. (Kijów), Wachowski Zygmunt, prof. St. Zaleski, prof. Ziemacki, prof. Tad. Zieliński, Zakrzewski (Stawropol) ks. Żyskar (Dorpat) i inni.

We wszystkich ogniskach życia polskiego: Warszawie, Krakowie, Lwowie, Poznaniu, Wilnie, Kijowie, jakoteż w ważniejszych miastach Cesarstwa „Dziennik Petersburski“ posiada własnych korespondentów; specjalne działy tygodniowe.

Specjalne sprawozdania z Dumy Państwowej i Rady Państwa.

Wydawca: A. BABIAŃSKI.

Sekretarz Redakcji: ST. GROSTERN.

Redaktor: J. SAWICKI.

Prenumerata wynosi w Petersburgu: rocz. 6 rb., półr. 3 rb., kwart. 1 rb. 50 k., mies. 50 k. Numer pojedynczy 3 kop., na prowincji 5 kop. W Cesarstwie: rocz. 8 rb., półr. 4 rb., kwart. 2 rb., mies. 70 kop. Za granicą: rocz. 12 rb., półr. 6 rb., kwart. 3 rb., mies. 1 rb.

Dla osób niezamożnych, tudzież instytucji i stowarzyszeń, zwracających się wprost do Redakcji — zniżka.

Adres Redakcji i Administracji: Petersburg, просп. Włodzimierski Nr. 13, telef. 105—43.

Prenumeratę na „Dziennik Peter burski“ przyjmują oddziały pocztowe w całym państwie.

TYGODNIK

„Lud Boży”

Popularne pismo narodowo-katolickie
z trzema dodatkami:

I. Nasza Wieś, II. Gazetka dla Dzieci i
III. Nauka Wiary.

Wychodzi od lat 6-ciu w Kijowie.

WARUNKI PRENUMERATY.

Rocznie rb. 3. — Półrocznie rb. 1.50

Adres Redakcji i Administracji: Kijów, Kościelna № 10.

Redaktor i Wydawca: X. ŻUKOWSKI.



PIERWSZA WARSZAWSKA FABRYKA NIETŁUKĄCYCH SIĘ LALEK JANA WODNIAKOWSKIEGO

w Warszawie, Leszno 100

POLECA WYROBY WŁASNE:

LALKI najpraktyczniejsze skórzane i płócienne. LALKI z nietłukącymi się, pięknymi główkami.

LALKI ubrane w wielkim wyborze. LALKI z peruczkami, z prawdziwych włosów, z imitacją Inu.

LALKI w narodowych kostjumach.

NOWOŚĆ!! KONFEKCJA DLA LALEK W WIELKIM WYBORZE.

Części zapasowe oraz farba guma do reperacji.

CENY FABRYCZNE

TANIO

Uwaga! Kantor i sprzedaż detaliczna p. t. „RAJ DZIECIĘCY” Chmielna 26, telefon 217-46.

„POLAK-KATOLIK“ NAJTAŃSZE CODZIENNE PISMO PORANNE,

WYBITNIE KATOLICKIE I ANTYSEMICKIE.

Radaktor i Wydawca **KSIĄDZ IGNACY KŁOPOTOWSKI.**

Organ szczerze i wybitnie katolicki narodowy, całkowicie niezależny, śmiało otwarcie porusza wszelkie sprawy polityczne, społeczne i ekonomiczne. Podając liczne wiadomości ze wszystkich dziedzin życia, szczególną uwagę poświęca ruchowi katolickiemu, tudzież zawsze palącej kwestyi żydowskiej, usilny kładąc nacisk na rozbudzenie samodzielności i przedsiębiorczości najszerszych warstw społeczeństwa polskiego.

Niebywale niska cena, zarówno jak styl i język jasny, prosty a dla wszystkich zrozumiały, czyni z „POLAKA-KATOLIKA“ pismo codzienne, najodpowiedniejsze dla szerokich mas ludności miejskiej i wiejskiej.

Warunki przedpłaty z przesyłką: Rocznie 5 rb. półrocznie 2 rb. 50 kop.; kwartalnie 1 rb. 25 kop.; miesięcznie 35 kop.

Za odnośnienie do domu dopłaca się miesięcznie 10 kop.

Za zmianę adresu 10 kop.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Trębacka 11.**

„POSIEW“ NAJTAŃSZE PISMO LUDOWE TYGODNIOWE

ORGAN WYBITNIE KATOLICKI I ANTYSEMICKI.

„Posiew“, redagowany stylem jasnym i zrozumiałym, jest przystępnym dla najszerszych warstw ludowych i pożądanym w każdym domu robotnika i chacie wieśniaka, jako tygodnik religijno-społeczny, wydawany w duchu ściśle katolicko-narodowym.

Redaktor i Wydawca **Ks. IGNACY KŁOPOTOWSKI.**

CENA PRENUMERATY:

Rocznie rb. 2.50, półrocznie rb. 1.30, kwartalnie kop. 70, miesięcznie kop. 25. — Numer pojedynczy kop. 6.

Zmiana adresu kop. 10.

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa, Trębacka 11.**

„Polski Przegląd Kupiecki“

jedyny organ polski, mający na celu omawianie wszelkich spraw, dotyczących naszego handlu i przemysłu.

Redaktor i wydawca:

ALEKSANDER GRANKE.

Wszyscy prenumeratorzy „Przeglądu“ otrzymują bez dopłaty dwutygodnik społeczny p. t. „Swój do swego“, a oprócz tego całoroczni prenumeratorzy otrzymują bezpłatnie, jedynie za zwrotem kosztów przesyłki pocztowej, cenne premjum: sześć książek z dziedziny handlu wartości podług cen księgarskich około 5-ciu rubli.

Prenumerata łącznie z pismem „Swój do swego“ w Warszawie wynosi rb. 4.— na prowincji z przesyłką pocztową rb. 5.— Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Żórawia 35, tel. 77-21.

Numery okazowe bezpłatnie.

„Swój do Swego“

Dwutygodnik społeczny i literacki, poświęcony zagadnieniom życia ekonomiczno-narodowego, wychodzi w Warszawie, ul. Żórawia 35, tel. 77-21. Przeplata roczna rb. 1 kop. 80 z przesyłką pocztową.

Redaktor i wydawca:

ALEKSANDER GRANKE.

Numery okazowe na żądanie bezpłatnie.

Postępujcie w myśl wskazań naszych!

ROCZNIKI „WIECZORÓW RODZINNYCH“ Z ROKU 1912

Nabywać można w księgarni „Polaka-Katolika“ Krakowskie-Przedmieście 64

w cenie bez oprawy **4 rb.**

w gustownej oprawie **5 rb.**